

Jak to z nami jest.

Jak to jest? Większość z nas popada w samo destrukcyjne myśli w czasach postępu i ogólnego podniesienia standardu życia. A to powinno dać – rozumując logicznie – skutek odwrotny. A jednak. Coraz więcej z nas woli zakończyć życie, które wydaje się kłębkiem sprzeczności i jednym wielkim bezsensiem. Człowiek staje i zastanawia się, po co to wszystko. Życie w samotności i ciągłym biegu. Wyścig szczurów donikąd. Stałam na jednym z takich życiowych rozdroży. Nie raz miałam ochotę zakończyć wreszcie ten dziwny marsz. Marsz bez celu.

* * *

Uchylone lekko okno. Smuga światła wpada do pokoju... Siedzę na środku podłogi, na dywanie i zastanawiam się, czemu ten nóż musi być taki tępy. Gdyby nie był to z pewnością bym się nie wahała. Zanurzyłabym jego ostrze i piękna szkarłatna krew potoczyłaby się na podłogę. Ale jest tępy a ja nie mam dość odwagi. Zresztą to też nie ma sensu. Odkładam nóż. Pokój wydaje się teraz taki obcy i taki zimny, jak nie mój. Siadam na kanapie i kładę głowę na poduszce. Miękką, miłą. Dalej nic nie rozumiem z tego... życia. Oczy mam otwarte, ciałem jestem tutaj, ale duszą odplynęłam...

- Beata! Kolacja!

- Już idę!

Staczam się leniwie z łóżka. Sama nie wiem, kiedy, ale zasnęłam. Sen był kojący... a może nawet wręcz pokrzepiający. Wyciągam się leniwie i podchodzę do okna. Fioletowo-różowe smugi chmur kontrastują z granatem nieba. Uwielbiam takie widoki i zawsze żałuję, że nie mogę ich uwiecznić.

- Beata!

- Idę!!!

Z niechęcią odchodzę od okna. Nie mam ochoty jeść, nie mam ochoty rozmawiać. Otwieram drzwi i schodzę na dół do kuchni. Światło żarówki lekko mnie oślepiło. Ziewnęłam przeciągle zasłaniając sobie usta ręką. Podeszłam do chlebaka i wyciągnęłam dwie kromki krojonego. Masełko, jeden plasterek szynki i dżem. A do tego mleko. Ymm...

- Znowu to mleko? Choć raz napiłabyś się herbaty.

- Ale wolę mleko.

Siadam przy stole i zabieram się za robienie kanapek. Ooo... jakiś film leci. Hmm... Popijając mlekiem zjadłam przygotowaną wcześniej małą wyzerkę. Siadam na kanapie... Film leci... Kolejny amerykański serial. Nie mówię, że ich nie lubię. Niektóre są nawet ciekawe, ale dziś każdy chyba by mnie nudził. Zawlokłam się, więc na górę. Skręciłam w prawo. Prosto do komputera. I tu wreszcie byłam w swoim świecie i żywiole. Cybernetyczna przestrzeń i przyjaciele zza szklanego ekranu, którzy akceptują mnie taką, jaka jestem. Mój ukochany blog i jego czytelnicy mający ten sam problem z porozumieniem się ze światem. Ten sam, co ja. Notka za notką – dzień za dniem. Pesymistyczny worek uczuć pełnych gorczy i słonych łez przybrany w ładne ciuszki. Pocieszyciele tylko na to czekają. To, że możesz kogoś pocieszać samemu będąc w dołku naprawdę buduje. Jeszcze nie byłam na etapie „upadłego anioła”, więc aż tak nisko nie spadałam. Zdarzały się nawet fazy pełne optymizmu. Kolejne znajomości nawiązane przy pomocy myszki i klawiatury dawały mi uczucie przynależności do czegoś, do tych, których chcieli, żebym była – po prostu. Natomiast drzwi do tego, co było obok mnie coraz bardziej się zamykały. Co raz większy mrok panował w moim pokoiku. Byłam już prawie zupełnie sama na sam z pudełkiem kabelków... Moja rodzina szarpnięciami przywoływała mnie do porządku. Zakazy wzniewały nienawiść – do Nich, do Siebie... I coraz częściej wizje końca – w najróżniejsze sposoby nęciły i kusily. O tak, to było coś jak marzenie o idealnym świecie – idylli. Poszłabym sobie i pewnie nikt za bardzo nie tęskniłby za mną. Tak... Był jeden problem – moje drugie Ja za bardzo trzymał się tego świata. A do tego pojawili się indyanci i szansa pojechania na złot. Szansa spędzenia wakacji z prawdziwymi ludźmi z krwi i kości, spotkania z moją pierwszą prawdziwą przyjaciółką! Tym razem do samobójstwa chciało mnie pchnąć, co innego – bardzo prozaiczny powód. Tak prozaiczny, że powinnam się wstydić. Bo kto przy zdrowych zmysłach chciałby się zabić z powodu fizyki? No ja... Zdałam ją godzinę przed klasyfikacją, ale nim to się stało miałam raczej przybrudzone myśli – w grę wchodziło nawet okno. Tory jednak nęciły bardziej – może, dlatego, że były po drugiej stronie ulicy. Tak czy siak w końcu jednak zdałam i pojechałam na złot...

Bez echa nie pozostała też znajomość z ludźmi z mojej klasy. Trafne było określenie mojego kolegi – „dzikuska”. Jak dzikuska w puszczy towarzyskiej poruszałam się z przestrachem i frustracją, że nie ma tam niczego co by mnie mogło zainteresować. A jednak wracałam i wracałam. Krążyłam jak sęp od jednej grupki do drugiej. A kwestia mojego odosobnienia nabrała rozgłosu w kręgach I LO. I dobrano mi się do skóry – dzięki Bogu! Tak czy siak powoli zaczęłam przystosowywać się i obecnie nie jest chyba już tak koszmarnie...

Tak czy siak im bliżej byłam ludzi tym chętniej do nich wracałam. Tym bardziej stawałam się otwarta, tym jeszcze bardziej zażyłe byłam połączona z tym światem. I choć myśli o tamtej stronie Styksu często wracają to nie mają już racji bytu.

Moją ucieczką miała być śmierć. Dla innych są to narkotyki, papierosy, alkohol... Miło jest być zauważonym. Miło jest, gdy jednak komuś na tobie zależy. Trzeba jednak zapomnieć o sobie i swoich problemach, spojrzeć na własne dłonie i dojrzeć w nich dłoń osoby stojącej tuż obok. Wspaniale jest istnieć, ale jeszcze piękniej jest BYĆ.

*Nim sięgniesz po nóż
Nim dziś stanie się wczoraj
Spójrz w lustro i spytaj:
„Czy warto?”*

**Dedykuję ten krótki tekst wszystkim niedoszłym samobójcom.
Beata Krzyżosiak.**